

Grzegorz Wróblewski

Spartakus

Literatura – sztuka – estetyka.
Szkice z pobytu na ziemi



Państwowy
Instytut
Wydawniczy

1.

Trzydzieści kilka lat studiowania Bernardina de Sahagúna i Bernala Díaza del Castillo, analizy święta huauhquiltamalqualiztli odprawianego ku czci boga Ixcozauhqui... Dłuuuga i intensywna trasa. Zamęczałem tym chyba wszystkich (nie)cierpliwych koleżków, rodzinę i mocno zaintrygowane tematem ukochane przyjaciółki. Wybaczcie więc (choć to było chyba czasem rozwojowe?), Mary & Jennifer, ten mój obsesyjny Tenochtitlan. I Quetzalcoatla. Nową Hiszpanię. Tortillas, indyki i konkwistadorów... prostytutki układające włosy na kształt rogów. Panów w skórach z ocelotów. Tak, tak, lubimy przecież bardzo gotowaną kukurydzę. I zażywamy z radością psylki... Tymczasem obsydianowy nóż. Okrutny Huitzilopochtli („Koliber lewej strony”, bóg wojny). Pióra quetzala. Brrrrrr!!! Strumyk/smutek gites krwi... Marzenie o nowych światach. Villa Rica de la Vera Cruz. Ślad tych moich zainteresowań można znaleźć w zbiorze *Noc w obozie Corteza* (WBPiCAK, 2007). Cykl wierszy, np. tę oto sekwencję dotyczącą klęski Hiszpanów podczas ich ucieczki z Tenochtitlan:

LA NOCHE TRISTE (1520)

Przepłynęliście morza w poszukiwaniu złotego piasku,
Wasze serca spoczną wśród czerwonych owoców opuncji.

Stosy notatek, szkiców... Książka, której do tej pory nie udało się zrealizować. Historie na moich frontach osobistych, skutecznie stopujące projekt, czy może jakieś zewnętrzne czary-mary, niezbadane fatalizmy & dziwna karma? Do Meksyku nigdy nie dotarłem, podobnie jak nie zaliczyłem Sikkimu i nie zobaczyłem obrazu *Las Meninas*... Złe wybory, energetyczne strzygi, niepotrzebnie stracony czas. I tego już się nie zmieni! *Ahu ahu i do piachu*... Z Tenochtitlan (znanego mi na pamięć z niezliczonych książek i artykułów) nigdy jednak psychicznie nie wyjechałem... Zdaje mi się, że ciągle w tej „drugiej Wenecji” przebywam. Do współczesnego Mexico City jakoś mnie z kolei nie ciągnie... Poszukiwania, samotność na Drodze Mlecznej, koty? *Ty i tylko ty*... Jednostkowy podmiot poznający? Osobnicy marzący o galaktycznych podbojach, załoga wybierająca się na planetę Mars/Jowisz/CXL99999 będzie musiała gruntownie przeanalizować *Kodeks Florencki*, spotkanie Corteza z Montezumą, opanować piktogramy, architekturę, wierzenia Meksyków (Aztekowie to niepoprawna nazwa, wymyślona w XVII wieku przez jezuitów, wzięli ją od nazwy Aztlan, czyli *Miejscza czapli*, skąd według legendy Indianie ci przybyli do Doliny Meksyku). Stracić serca na piramidzie. Żeby przygotować się na konfrontację z Obcym, należałoby znać na pamięć historię konkwisty. A obcięte głowy schwytanych koni umieszczano na specjalnych stojakach... - żebyśmy nie mieli tu większych wątpliwości.

MAGIA OBSYDIANOWYCH NOŻY

Dlaczego nie tańczą wraz z nami u stóp Wielkiej Świątyni,
Czyżby nie byli wysłannikami Quetzalcoatlą?

Większość opowieści o Mexikach (Aztekach) jest oczywiście mocno zafałszowana. Ich „dokumentację” spalono. Wiadomo, zwycięzcy tworzą historię. Mexikowie zrobili zresztą to samo z bibliotekami poprzedzających ich Tolteków. Przepisali i dodali na podstawie tolteckich pism co trzeba i oto mieli nagle własną wspaniałą przeszłość, skomplikowaną religię etc. Podobnie jak stało się to wcześniej w naszych zakątkach globu z Egiptem, a następnie ze starymi/nowymi testamentami... Dobrze znany nam *The Great Rock’N’Roll Swindle*: „The time is right to do it now / The greatest rock and roll swindle”. Trzeba być pomysłowym i zawsze na posterunku! I założyć opaskę-przepaskę w odpowiednim momencie, rzecz jasna, gdy patrzy na nas zza krzaka jakaś atrakcyjna, niepokalana łączniczka/sanitariuszka... Dopisywanie, selektywne przepisywanie, fałszerka, celowe omijanie „niewygodnych fragmentów” stało się specjalnością wielu tzw. ekspertów. I nie ma się co dziwić, że pojawili się wyznawcy Niebocentryzmu albo Heriberta Illiga. To oczywiste! Wystarczy lekko zainteresować się starą architekturą, np. przejściami stylu romańskiego w gotyk, i nagle cała akademia nabiera wody w usta. Historycy zajmujący się średniowieczem muszą nieźle lawirować; wiadomo, większość źródeł z tamtego czasu to zwykła mistyfikacja. Nie trzeba koniecznie podniecać się hipotezą czasu widmowego, żeby zapaliła nam się czerwona lampka... Dźwiganie na plecach kamieni, budowa piramidy Cheopsa... Miał chyba rację Hłasko: „Świat to gromada zwierząt wałęsających się po gównie”. I trzeba

nadać temu jakiś sens, wykombinować/wytłumaczyć, na czym to wążęsanie miałoby właściwie polegać. Nie musimy nawet zawracać sobie głowy okrutnymi faraonami czy książką *The True Story of the Bishopville Monster*. Sytuacja jest dynamiczna/komiczna. Na przykład nowa dyskusja dotycząca „zmiany warty” w polskiej poezji. Tutaj optymalnie pasowałaby „wypowiedź” Antoniego Pawlaka z jego przedpotopowej *Książeczki wojskowej*:

Stoi żołnierz na warcie
i myśli uparcie
co lepsze: czy dupa czy żarcie
Dobra jest dupa
dobre jest żarcie lecz przejebane jest stać na warcie

I o to właśnie biega nad Wisłami i w piwnicach pod kołczanami! Służba wartownicza, stróżówka, prywatni detektywi & myśliwi sprzyjający rozwojowi lasów poprzez „zachowanie odpowiednich proporcji bizona w stosunku do żbika i rzadkich mchów ze strefy polarnej, która niespodzianie przemieniła się w śródziemnomorską”. W polskim światku lirycznym (pseudometafizycznym & zaangażowanym & mało zaangażowanym – gdyż to przecież „familia”, czyli jedna wielka rodzina) zmiany warty są dość częstym fenomenem. Taka już widocznie polska „specyfika”, taki sport. Rozliczenia, sezonowe czarownice... Zaobserwowałem w moim przydługim życiu już chyba sporo takich wymian personełu. Te same białka, ta sama świadomość, inne (nieco) fryzury, glany, opakowania. A zapodaje się babilońskie argumenty, maksymalnie fantazyjne (w zależności od koniunktury), że ten kolega to był zawsze zbyt mało polityczny, a tamten w ogóle nie był, a kolejny, że operuje przestarzałą metaforą, unika proboszcza /

za dużo się modli, że miłośnicy/zdrajcy bizona itd. Mordowanie ojca/barda/medalisty (przez jego klony z wąsami), dobierzemy się dziadkom leśnym do dupy... Wszystko to bez znaczenia, bo zarówno atakowani, jak i atakujący do wirtuozów tej planety z pewnością się nie zaliczają. Fałszerka, dokładnie taka sama jak magia sekty chłystów albo kult Mary Ann Cotton, specjalistki od likwidacji (arszenik) młodszego pokolenia... Zamiast postawić sprawę prosto i uczciwie:

Kochani, Panie & Panowie, Siostry, Bracia i Siostrbrocacia, boże, coś Polskie od samiuśkich Tatrów, w imię jak Czarniecki, to znaczy Wanda na główkę do Wisły, żeby pokonać smoka i przynieść nam pokój wieczny, ale nie każdy musi wierzyć dziś w spirytualia! Ludzie przekłęci urodzeni w latach 1900–1979, nachapaliście się już nagród (albo słusznie odstawiono was na przemiał), dajcie więc w końcu trochę zarobić, wydrukować kilka książek itd., ekipie urodzonych po 1980. Koryto wszystkich dziś nie wykarmi. Pieczarkarnie nie przynoszą zysku i padło górnictwo. Mieszczanie wolą wypracowania o Piłsudskim oraz Stalinie. Ministerstwo wspiera wyłącznie gości gloryfikujących nasz przedwojenny Lwów. Ledwo oddychamy! A czasu nie mamy zbyt wiele, gdyż zaraz skoczą nam do gardeł urodzeni po 1999. I postulujemy nie zapraszać na festiwale klienteli zainteresowanej obmacywaniem się pod stolikami. Bez względu na wyznanie/wiek/przekonania polityczne. Życie idzie naprzód krokiem alterglobalizmu! Szczęść boże, niech będzie pochwalony Breżniew!

I to byłoby naturalne. Jakoś tam sprawiedliwe. Chyba że ktoś jeszcze wierzy w debiutantów po sześćdziesiątym roku życia! W sumie... why not? Więc zrozumiały niepokój, że ci sami ludzie w jury i ci sami z talarami... Powinno się to jednak „rozjaśnić” bez kretyńskiej barykady. Tymczasem mesjanizm, jak zwykle...

Nacht der langen Messer. Bo przecież nie chodzi o jakiś istotny przełom intelektualny/formalny. Coś takiego NIGDY nie nastąpiło. Są ciekawe i na maxa grafo wystąpienia. Kilka charyzmatycznych i armia dużo mniej charyzmatycznych twarzy. Talenty i ponura głupawka. Falowanie. Zwykła, klasyczna rotacja generacyjna. Bez tych bajek o dominacji/braku dominacji nieodkrytych, niedocenionych, Brulionu, szowinistów, ekologów, postcyber, neodada... To mity. To całość, naturalne wypady, krajobraz. Naturszczyk nie pokona (nie przekona) akademii, „docent” nie załapie się na party naturszczyka. Prawica to za chwilę brunatna lewica, a lewica to przybunkrowana, kochająca strzelectwo prawica. Środek to brak jakiegokolwiek środka. I nikt nikogo nie zmusza do dredów czy wzdychania na temat kawy/papierosów. Po co czytać kiepskich literacko, napuszonych zgredów-medalistów, zajmować się ewidentnym shitem, płakać po nocach i ciąć się żyłtkami? Ale ciągle będzie się wciskało mało zorientowanym kit. Straszycie demonami. Niestety: *Pierdol bąka, a bąk brzdąka*. Natomiast sensowni ludzie i tak na bank przeskoczą te środowiskowe i generacyjne przytulanki (taka przynajmniej hipoteza). Poradzą sobie bez agitatorów i manipulacji. PESEL do niczego im się nie przyda. Będą zawsze bez aktu zgonu. Zdobędą kasę na sto innych sposobów. Dorobią reportażem o skandalach bankowych, kontrolowaniem towarów w Biedronce albo zaczną kręcić w Pretorii filmy o białych farmerach. Do zobaczenia więc za kilka lat. Trzymam kciuki za urodzonych po 1999 roku i wiem dokładnie (choć nie jestem Rasputinem), jak będzie wyglądać ich zaangażowana, mało zaangażowana, kościelna, patriotyczna i anarchistyczna poezja. Jak obali się obecnych (za chwilę już podstarzałych) łowców głów. *Show must go on!* Niech żyje bizon i żbik, trafiliście na niezłych wariatów, ale Mordor musi przegrać, to są

tylko zwykłe amplitudy. Melancholia sprawę wyprostuje (chodzi o Larsa, oczywiście). Ale czy sami nie mamy już na nic wpływu? Dolewają nam do mleka meskalinę? Ktoś zainstalował tajemniczy program/wirusa/pluskwę? Czyżby apokaliptyczni Świadkowie (czy inni pobożni purpuraci) dogadali się z „Kolibrem”, zadowolonymi z włoskich torebek celebrytami i ministrem środowiska? A tu zmiana warty i ględzenie. Inkubator nowych niewolników...

Przełom xv i xvi wieku. Europa zalana romansami rycerskimi. W 1492 pada w Grenadzie Alhambra, ostatnia twierdza Arabów w Hiszpanii. I co dalej, biedny człowieku? Gołodupcom zawsze wiatr w oczy. Upadek/syfilis, marzenia o Nowym Świecie. Odkrycia Kolumba. Amerigo Vespucci. Fanatyzm narodowy & religijny w rozkwicie. Skąd my to znamy? Chichot Ziemi! Obroty kuli... Zamiast londyńskiego zmywaka bajki o smokach i tajemniczym El Dorado. Złoto! Pierwiastek chemiczny o liczbie atomowej 79. *Teocuitlalt*, czyli „boskie odchody”, jak z szacunkiem nazywali je Meksykanie. *Secundones* – synkowie hiszpańskiej szlachty, pozbawieni pierścionków przez pierworodnych, zaczynają się nerwowo kręcić/wiercić, rozglądać za odpowiednimi pływającymi (dryfującymi) baliami. Odważni, trzymający się pionu kapitanowie. Konkwista! Cortez. Dla jednych sadysta, niszczyciel wspaniałych indiańskich cywilizacji, dla drugich synonim odwagi, zapowiedź epoki renesansu. I Pan Montezuma II. Rytualny zjadacz niemowląt (w kotłach z pomidorami dla poprawy smaku). W czasach dzisiejszych odmiana ambitnego profesora teologii. Spotkanie dwóch nieprzeciętnych osób. Nasza misja do kaniou Valles Marineris. Na balangę z Saurianami. Bernal Díaz del Castillo przeszedł z Cortezem cały szlak bojowy. Był jego chorążym. Jest autorem genialnej wspomnieniówki *Pamiętnik żołnierza Korteza czyli prawdziwa historia podboju Nowej Hiszpanii* (*Historia*

Verdadera de la Conquista de la Nueva España). Książki, na którą powoływać się będą potem wszyscy możliwi badacze/pasjonaci konkwisty. Bez Bernala dużo byśmy się na temat tamtych wydarzeń nie dowiedzieli. Zachowały się oczywiście niektóre listy Corteza do króla czy przerysowana relacja podboju Ovieda y Valdes. Są także relacje pierwszych franciszkańskich misjonarzy (nie, nie, to nie były tylko te nasze wymarzone gołąbki pokoju). Po pacyfikacji Meksyku znaczną ilość informacji posiadamy dzięki zachowanym po dziś dzień w przeróżnych archiwach protokołom sądowym zeznających konkwistadorów. Oskarżano Corteza o okrucieństwa, zabójstwo żony, zrobienie w balona gubernatora Kuby, szwindel (patrz wyżej: *swindle*) z naszym ukończonym, demonicznym kruszczem. Ktoś się załapał, a ktoś nie-za-bardzo. Szczególnie podkurwiło to kolegów konkwistadorów, którym udało się oszczędzić brodate główki w czasie ofiarowania na szczytach piramid w Tenochtitlan. Twardzieli, których namówiono na różne absurdalne, „kontrowersyjne akcje”, np. rzeź w mieście Choluli. Strumyk gites krwi, again! Bernal pisał swój pamiętnik na kilka lat przed śmiercią w Gwatemali (zmarł w 1580), gdzie mieszkał od 1541 roku, po złożeniu broni (ostatnią jego wycieczką była nieudana wyprawa z Cortezem do Hondurasu) został tam ławnikiem. Dziadował, ale jako kultowa postać. Traktowano go z respektem. Ostatecznie świadek wyprawy na Jupitera. I coś go, w mordę, w końcówce życia podkusiło. Tłumaaczył, że chciał przekazać prawdę swym wnukom i przeciwstawić się tendencyjnym historykom, którzy w kilkadziesiąt lat po „wydarzeniach” zaczęli niepokojąco węszyć i dopisywać nieprawdziwe „epizody” ... Pamiętnik/relacja! (Już drzę, jak puści farbę moja ex-żona...). Tekst Bernala to wspomnienia prostego żołnierza, nie jest to dokument jakiegoś ówczesnego jajogłowego mędrca